

NIEZNANE LISTY STANISŁAWA VINCENZA I ALICJI DE BARCZA: ZAGINIONA SAGA HUCULSKA

W artykule przedstawiono historię znajomości Alicji de Barcza i Stanisława Vincenza oraz przeanalizowano ich korespondencję, z której wynikało, że pisarka miała zamiar napisać huculską «Chronique scandaleuse» pod tytułem «Olena of Trihory» – przeróbkę opowieści o Helenie i Parysie przeniesionej na Pokucie – na podstawie własnych wspomnień i materiałów folklorystycznych. Jej saga nie doszła do skutku, a rękopis najprawdopodobniej został zniszczony.

Słowa kluczowe: korespondencja, Huculszczyzna, saga huculska, wspomnienia.

У статті представлено історію знайомства Аліції де Барча і Станіслава Вінченза та проаналізовано їхню кореспонденцію, з якої було відомо, що письменниця збиралася написати гуцульську «Chronique scandaleuse» під назвою «Olena of Trihory» – своєрідну обробку міфу про Гелену і Паріса, перенесеного на Покуття, використовуючи власні спогади і фольклорні матеріали. Її saga не була написана, а рукопис загинув.

Ключові слова: листування, Гуцульщина, гуцульська saga, спогади.

The article presents the history of knowledge of Alicja de Barcza and Stanislaw Vincenz and examines their correspondence, which concluded that she was going to write Hutsul «Chronique scandaleuse» entitled «Olena of Trihory», an adaptation of the Helen and Paris story in a Carpathian setting, based on her own memories and on folkloric sources. The work never materialized and the manuscript was probably destroyed.

Key word: correspondence, Hutsulshchyzna, hutsul saga, memories.

Bohaterowie tego artykułu – Stanisław Vincenz i Alicja de Barcza – byli niemal sąsiadami na Huculszczyźnie, może nawet powinowaci, lecz poznali się dopiero w Budapeszcie podczas wojny, a po wojnie korespondowali dorywczo przez 15 lat [1]. O mniej znanej autorce zaginionej czy zatopionej huculskiej sagi wypada nakreślić parę słów.

Alicję de Barcza – autorkę czterech powieści wydanych po angielsku, rysowniczkę, projektantkę mód, wspominają Jan Lechoń w «Dzienniku» i Witold Gombrowicz. Zaprzyjaźniona od dziecka z Nelą Młynarską i siostrami Lilpop, ta rodowita warszawianka знаła przed wojną cały nadwiślański świat literacki od Stanisława Ignacego Witkiewicza po Skamandrytów, z którymi była per «Ty». Jej przygoda huculska rozpoczęła się w dwudziestym drugim roku życia, gdy wyszła za mąż za Jerzego Romaszkana, zamieszkałego w Tatarowie na Huculszczyźnie. «Tatarów, – wspominał Roman Jasiński, – niby to wioska, niby miasteczko, i niby miejscowość letniskowa, położona nad Prutem, a otoczona zewsząd pokrytymi lasem górami, oddalona od świata i niezbyt zaludniona, uderzyła mnie od razu atmosferą sielskiej intymności. Nie było tu ani sklepów, ani kawiarni, ani innych miejskich atrakcji, więc panował tu idealny spokój, zjeżdżali tu, bowiem, latem tylko ludzie spragnieni ciszy i szukający ucieczki od wielkomiejskiego ggiełku» [5, s. 587].

W Tatarowie mieszkał cały klan Romaszkanów. Jerzy rysował znakomicie i tłumaczył Rilkego, grał całymi dniami na świetnym Bechsteinie. Opodal mieszkał jeszcze kuzyn Romaszkanów, Karol Kosak, bratanek Wojciecha, malarz, specjalizował się w widokówkach huculskich i typach ludowych. W pierwszych latach młoda para gospodarowała skromnie, ledwie wiążąc koniec z końcem – aż powstał pomysł założenia pensjonatu. «Szczególnie obszerny, dwupiętrowy dom ... nazywany «Strasznym Dworem», był cackiem, jakiego próżno by w ówczesnej Polsce znaleźć można było. [5, s. 584]. Wnętrza zawsze nie stereotypowe, bo każdy pokój inaczej skomponowany, często na różnych poziomach; dachy spiczaste łamane, przeważnie z facjatkami, kryte klepką i przetykane murem, ogromne ilości pięknych detali, a przecie całość nimi nie przeladowana sprawiała zawsze wrażenie wysoce harmonijne [5, s. 584] wnętrze było skromne, lecz urządzone z wielkim smakiem» [5, s. 584]. W ostatnim sezonie przed wybuchem wojny do pensjonatu «Straszny Dwór» poprzyjeżdżali Warszawiacy z «wyższych sfer towarzyskich»: była Potocka (*de domo Radziwiłłówna*) z córkami, był jej brat, ożeniony po wojnie z siostrą Jacqueline Kennedy. Przybył sportowiec Tadeusz Grabowski, przybył mecenas Kon, i to oni – zdaniem Jasińskiego – «w jeszcze większym chyba stopniu niż pani Potocka, świadczyć mogli, że elegancka Warszawa „Strasz-

ny Dwór” zaaprobowała i popierać będzie» [5, s. 678-679]. Spośród gości Alicja (Litka) pozostała po wojnie w bliskiej przyjaźni z Konstantym Jeleńskim. Jeszcze wcześniej przywędrował tu młodziutki jeszcze Witold Lutosławski, i «nie dając się długo prosić, zagrał swą, świeżo właśnie skomponowaną, sonatę fortepianową. Byliśmy nią wszyscy zachwyceni, ten młodzieńczy, bowiem, utwór wyraźnie świadczył o ogromnym, świetnie się już wówczas zapowiadającym kompozytorskim talencie Lutosławskiego» [5, s. 587]. Z wypróbowanych przyjaciół był tu wakacyjnie Józef Wittlin, niejednokrotnie bywali Zbigniew Uniłowski z żoną. Litka tymczasem zbratała się z krajobrazem, z powietrzem, z ludźmi, i tak zżyła się z terenem, że pozostał potem w pamięci jako obraz raj utraconego. Pisze Felicja Krance: «Litka pokochała ten zakątek Huculszczyzny, wrosła weń korzeniami do tego stopnia, że ani późniejsza zmiana kontynentu, ani bieg czasu i wypadków nie zmieniły w niczym jej stosunku do tamtejszego ludu i tamtej przyrody» [6, s. 265]. Z tym rajem Alicja rozstała się na zawsze we wrześniu 1939 r. Uciekła samochodem, wioząc ciężko chorego na gruźlicę męża, dwa psy oraz maszynę do pisania, razem przekroczyli granicę w ostatniej chwili. Pierwszą Wigilię w Budapeszcie spędzają w pensjonacie. Potem, jak opowiada Felicja Krance: «W obozie dla uchodźców na Węgrzech Jerzy, który już raz stoczył walkę z gruźlicą, zapadł w nią ponownie i już z niej nie wyszedł. Litka, władając biegle pięcioma językami, dostała posadę tłumaczki w Czerwonym Krzyżu i pracowała także jako rysownicza w fabryce tekstylnej» [6, s. 273].

Vincenz, który uciekł razem z rodziną na Węgry wiosną 1940 roku, spożytkowuje czas na naukę języka węgierskiego, na pisarstwo. Wykonuje przekłady z poezji węgierskiej, studiuje tradycje ludowe, pisze eseje, m.in. o krajobrazie węgierskim. Jest doradcą literackim «Tygodnika Polskiego» w Budapeszcie i konsultantem wydawnictw «Biblioteka Polska».

Przebywając przeważnie w środowisku polskich uchodźców Litka została przedstawiona Vincenzowi przez Bogdana Stypińskiego. Pisała później: «Ach, często przypomina mi się budapeszteński «Klub pod Kaktusem» i «Karpatia», do której Stypińszczak mnie zaprowadził, nie na śledzia, nie na wódkę, a na Pana Profesora. Boże, jak ja pamiętam ten dzień» [1]. Trudno ustalić ile było tych spotkań, ile tych rozmów, zarówno odkrywczych jak kojących. Litka pewnie ugruntowuje swoją wiedzę o straconej krainie huculskiej; choć po ośmiu latach współżycia z ludźmi mogła mieć niejedno do powiedzenia. Założyć jednak trzeba, że jako młodsza

osoba raczej słuchała. Prawdopodobnie Vincenz opowiadał o Rachmanach, którzy weszli potem do jej języka pojęciowego. Poznał w 1944 r. jej węgierskiego małżonka, arystokratę, przemysłowca i maltańczyka Karola de Barcza. Wyraził uznanie dla jej talentu artystycznego. Litka zaprzyjaźniła się również ze Stanisławem Juniorem, z którym przeprowadzała wielkie dysputy światopoglądowe, i korespondowała do końca życia.

Po wojnie, po licznych perypetiach, Barczowa stanęła na krótki pobyt w Positano. Otrzymałszy od Stypińskiego adres Vincenzów w Uriage zainicjowała korespondencję, która przetrwała do 1964 r. [1; 2] W listach Barczowa i Vincenz rozmawiają o wszystkim – o filozofii i archeologii, o matematyce i czasie, o warsztacie pisarskim, o przymiotach, stycznościach i współzależnościach religii i pogaństwa, o Indianach meksykańskich. Tematy abstrakcyjne rozpoczyna za zwyczaj Vincenz, napomyka o swojej tezie doktorskiej, snuje refleksje na marginesie bieżących lektur. Litka traktuje te kwestie bardziej malowniczo, obrazkowo. Choć da się wyczuć, że jest cała zasłuchana w wypowiedziach mentora, jest czytana, chłonna, ciekawa świata, wyrabia własny system estetyczno-etyczny. Vincenz prowadzi znany nam dyskurs abstrakcyjny, filozoficzny, uogólniający; Barczowa wyraża się soczystym językiem kolokwialnym i zaskakującymi metaforami, a filozofię pojmuje w kategoriach tego, co sama bezpośrednio odczuwa. Łączy ich przede wszystkim wspólna ich Huculszczyzna. Wiadomo, Vincenz odnajdował ślady huculskie w całej europejskiej kulturze górskiej. Inna to sprawa, że emigrant szuka, i nieraz odnajduje odbicie obrazu ojczyzny na obczyźnie, potwierdza tym uniwersalizm pierwotnego Heimatu. Będąc pod Neapolem Barczowa żałuje, że jej rozmówca nie może cieszyć się Paestum i nowymi wykopaliskami greckimi w Palinuro. Pisze: «Salerno jest małe, ale wolę je od Neapolu. (...) Błogosławiona ziemia. (...) Kopuła dzwonnicy w Amalfi (...) to zwykły garnek huculski: kremowo-bronzowo-zielony. Ambony tutaj, nieodmiennie wspierające swe kolumny na lwach, są pokryte mozaiką, której dokładne odbicie widzi się na nahrudnikach (tak się nazywa haft na męskiej koszuli huculskiej, prawda?) Jakby ta moda, ten gust zastygły na kilka lat przed wielką schizmą, a po niej z tych okolic wypędzony, może, jako wschodnia herezja, znalazła przytułek u ludu i przewędrowawszy Bałkany, Rumunię, rozlawszy się na Ukrainę, zatrzymał się na Karpatach. Gust trochę barbarzyński, prymitywny, naiwnie parweniuszowski, wobec taktownej, cichej, cudownej kolumny greckiej. Brązowe

wrota tutejszych bazylik bywały zwykle kute w X-tym i XI-stym wieku w Konstantynopolu i wyglądają, jak huculskie ozdoby z mosiądzu» [1].

Negatywnie nastawiona do dogmatu kościelnego i religii oficjalnej, Barczowa wyznawała swoisty poganizm, materializm mistyczny. Obojga korespondentów mocno niepokoił kryzys wartości, moralny upadek Europy, oboje pesymistycznie oceniają dalszą perspektywę, starają się definiować ówczesny stan duchowy. Sokrates z połoniny ujmuje problematykę cywilizacji zachodniej w kategoriach Huculszczyzna – reszta świata.: «Proszę mnie zrozumieć, że ktoś, który widział i słyszał na połoninach modlitwy do «świętego Słoneczka» i tym podobne i wchodził we wszystkie, jeśli nie tajniki, to przynajmniej wyrazy magii huculskiej, ma trochę a może nawet sporo serca dla tego wszystkiego. (...) Co dnia będą katastrofy, jak zresztą jest we Francji, gdzie mimo wszystko pokutuje jakaś widocznie „pogańska” idea, że człowiek jest dla – «bonheur». Albo się chce żyć po huculsku, jeździć wołami, albo końmi huculskimi, którym przede wszystkim pozwala się aby były mądrzejsze od człowieka, i brały na siebie troski, albo koleją, aeroplanem, otrzymywać książki i gazety i wtedy nie ma ani «Unschuld» ani żadnego «bonheur», chyba taki jak we Francji, od strony bałaganu» [1].

Z całej korespondencji daje się wyczuć ogromną wzajemną sympatię. Barczowa entuzjastycznie odnosi się do każdego utworu, jaki Vincenz jej posyła do wglądu («Rarytas», «Bałaguły»). Donosi o swoich zamiarach literackich, Vincenz cieszy się jej sukcesami; nazywał ją «wasylkowe oczy». Była ona osobą niezmiernie praktyczną, ale i Vincenz nie samymi abstrakcjami się żywił. Po pół roku korespondowania zgłaszał do niej propozycję: «postanowiłem nawiązać z Panią pewną łączność, która może dać więcej niż listy, więcej niż dużo innych zbliżeń. Jak na razie, jest to tylko propozycja na chybił trafił (...). Oto poprawiając i przepisując rozdział z „Połoniny” pt. „Bałaguły”, zobaczyłem nagle najwyraźniej, jak pięknie mogłaby go Pani ilustrować, także dopiero wtedy rozdział stanowiłby jako tako doskonałą i ziszczoną całość. Chodziłoby – podobnie jak u Breughela – o takie przejaskrawienie bardzo zresztą jaskrawej i groteskowej rzeczywistości, że poprzez ilustracje uwydatniłaby się pewna nadnaturalność i nadrzeczywistość. Opowiadanie opisuje pięć wozów-omnibusów i woźniców żydowskich (nazwanych u nas bałagułami) jak marzą sobie o Lewiatanie (to ma być ryba nadziemską, właściwie droga mleczna) i o wszystkich sprawach najwyższych, dowcipkując, docinając sobie, kłócąc się, a

równocześnie wtajemniczając różnych gojów-pasażerów w „misteria” chasydzkie. Jeśli to nie na czasie, to może kiedyś później, a zresztą proszę to wziąć wszystko jako szczerzy odlew „prądu”, który przyleciał od Pani» [2]. Barczowa od razu wyraziła gotowość robienia wszystkich ilustracji «za darmo i z radością, tylko proszę o teksty» [1]. Gdy dotarł maszynopis «Bałagułów»: «O, jakże mi się podobały! (...) Nie piszę ładnych komplementów pod adresem „Bałaguł”, bo spod serca mi są wyrwane. Czy własne serce mam chwalić? Tam myśli me, ubrane w prześliczne pokuckie sukienki hulają na kołomyjskim powietrzu» [1]. Po kilku kolejnych lekturach знаła je niemal na pamięć. Wcześniej już znalazła model do rysunku, gdyż spotkana w Positano wiedeńska Żydówka z Galicji pokazała jej legendy żydowskie ilustrowane przez artystę z Połtawy, czy Kijowa, a wydane przez Żydowskie Muzeum Folklorystyczne w Berlinie. Barczowa dość szczegółowo opisuje ten skarb: «Ponieważ całe muzeum przepadło, więc książeczka jest białym krukiem. W przedmowie do niej uczony, Żyd berliński pisze, że rysownik był z prostej rodziny, bo napisy pod „malunkami” w żargonie są pełne błędów, poza tym pisze, że rysunki te były przez nieznanego artystę przeznaczone na dar dla niejakiego „Olizara” [1]. Musiał ten Żydek dla jakiegoś polskiego pana pracować. W przedmowie napisane także, że należał on do „Chasidensekte”, co uczony berliński poznaje po różnych symbolach oraz po tekście. To mnie skłoniło do obrania tego „genre” do ilustracji. Kostiumy są typowe podolsko-żydowskie z 40-50 lat. Co prawda „bałaguły” dzieją się znacznie później, ale trudno używać do ilustracji „kostiumów”, które nosili nasi tatarowscy: Nutka, Chaimko, Lipa czy Dickercio. Styl ilustracji zachowałam pośredni między nieznanym chasydzkim Podolakiem, a Arturkiem Wienerem, synem naszego tatarowskiego Chasyda, który miał 11 lat i którego rysunków uczył kuzyn mego pierwszego męża, Karol Kossak, bratanek Wojciecha. Mimo wszystko miałam zawsze wrażenie, że Arturek ma w małym palcu więcej talentu, niż jego mistrz. Niemcy go zamordowali, oczywiście, podczas wielkiej rzezi w Worochcie za tartakiem. Jeżeli Pan Profesor całkiem inaczej sobie ilustracje wyobrażał, to mogę zrobić inne. Ale mam wrażenie, że na zagranicę trzeba raczej dać coś „populo”, co rzuca się w oczy czytelnika przeglądającego książkę w księgarni» [1]. Wraz z tym listem Barczowa posłała Vincenzowi rysunek na próbę, komentując dalej: «Niezmiernie suto i bogato Pan pisze, tak jak niezmiernie suto Piter Breughel malował. Przez to na jego obrazy trzeba się godzi-

nami patrzeć i „mieszkać”, „żyć” w nich, a Pana rzeczy trzeba kilkakrotnie czytać z tych samych powodów» [1]. Vincenz widocznie zaaprobował rysunek, choć ten list się nie zachował. Chciała ilustrować coś do «Samaela i Ostatniego», Vincenz bodaj zasugerował rysunek z lewiatanem, o czym zresztą Litka sama myślała. Do niedatowanej kartki dopisał się urzędujący wówczas we Włoszech Konstanty Jeleński: «Spędziliśmy dwa dni z Litką rozmawiając o Bałagufach, Chasydach i Sokratesie. Stwierdziliśmy, że bardzo nam Pana brakuje do długich dyskusji w Böchlinowskim pejzażu» [1]. Los jednak nie sprzyjał marzeniom ilustratorki. Usprawiedliwia się w styczniu 1950 r., że «straszenie mi przykro, że nigdy nie zdążyłam zrobić ilustracji do Chasydów». Pan de Barcza chorował wówczas po krwotoku żołądka. Gdy stanęła *en vis à vis du rien*, przyjaciele znaleźli jej pracę jako kucharki w londyńskim hoteliku i już szykowała się do wyjazdu nad Tamizę, kiedy sukces jej książki w Ameryce zapewnił jej amerykańską wizę dla całej rodziny. Odpłynęła więc do Nowego Jorku, i nie wiadomo jaki los spotkał powstałe rysunki.

W grudniu 1955 wraz z życzeniami świątecznymi Barczowa zachwycała się angielskim wydaniem «Połoniny» [6]: «Uważam, że nad podziw dobrze wypadło, zważywszy, że ang.[ielsko] mówiące narody już dawno zatraciły wszelki folklor i jego ślady w swym języku, który dziś posiada już tylko wielkemiejskie dialekty, albo niegramatyczną mowę niedouczonej farmerów bez tradycji. Oprawa książki i ilustracje – wszystko imponujące i b. b. serdecznie wieszuję!» [1].

Książkę ilustrował zamieszkały w Nowym Jorku, a słynny nie tylko w polskim środowisku Zdzisław Czermański. Na komplementy swej czytelniczki Vincenz odpisał przed końcem stycznia: «Było mi szczególnie miło, że Pani tak zareagowała na «High Uplands». Ale jakże byłoby dobrze i inaczej, gdyby Pani je ilustrowała i gdyby wybór (nawet bez powiększenia tomu) był sensowniejszy. To wszystko stało się bez mego udziału. – Ale miejmy to za początek. Czy Pani zna może najciekawszą amerykańską książkę sprzed stu lat (oprócz Thoreau i Whitmana) «Moby Dick» Melville’a. I że uważano niegdyś za regionalną (morską), co gorsze że «fachową» (od połowu wieloryba). Potrzeba było stu lat! Może po stu latach także «Połoninę» będą czytać inaczej?» [2].

Barczową od dawna «korciła» tematyka huculska – już nie jako rysowniczkę, lecz jako pisarkę. Nie jest wykluczone, że uległa «wpływowi» Vincenza – ale z poprawką. Od dziecka miała ona fantazję baśniową, zdaje się, że jako młoda mężatka pisywała

bajki. Józef Wittlin nawet zaniósł jej maszynopis do nowojorskiego wydawcy, który jednak «tych bajek (...) nie weźmie. (...) Mówi, że wolałby bajki na tematy huculskie, ponieważ jego firma interesuje się obecnie tematami słowiańskimi» (...). I tu trzeba dostrzegać główny doping i «inspirację» [1]. Parę lat później Barczowa donosi Vincenzowi, iż «napadło» ją, żeby napisać jakie 200 stron o Huculach, «coś w rodzaju «Chronique Scandaleuse» [1]. Zamierzała pisać wprost po angielsku i dla Amerykanów. Tytuł już miała: «Olena of Trihory». Była to przeróbka romansu Heleny i Parysa, przeniesiona na Pokucie: «Mam już około 70-ciu stron. Z tego wybrałam 15 (opis jednego wesela w Jabłonicy z przeszkodami) i posłałam agentce swojej do Nowego Jorku. Ona była zachwycona i sama posłała do «Magazine’u Atlantic». Jest przekonana, że to się łatwo sprzeda» [1].

W liście żali się, że brak jej materiału folklorystycznego. «Jest co prawda Encyklopedia Huculczyzny p.t. «Na Wysokiej Połoninie» niejakiego Stanisława Vincenza, ale nie istnieje w Stanach! Błagałam Kistera, by mi ją wydebił. Teraz błagam ja, Pana Profesora!» [1]. Argumenty jej były nęcące: «Przypuszczam też, że o ile sprzedam moją książkę, to rynek na Huculów nareszcie w tym kraju się otworzy. Sprzedałam teraz trzecią książkę, jestem w trakcie sprzedawania czwartej, przypuszczam więc, że łatwo mi przyjdzie sprzedanie V-ej, choćby o Huculach. (...). Gdyby jednak pan Profesor okazał się aniołem i pożyczył mi Połoninę na jaki miesiąc» [1].

Książkę zamierzała ilustrować sama, łudziła się nadzieją, iż «w 1955 r. wielu Amerykanów będzie się z huculska nosić i mawiać: *mensze-bilsze*, zamiast *more or less*, itd.» [1]. Nie znalazłszy w Paryżu egzemplarza swego dzieła, Vincenz radził przyjaciółce żeby wypożyczyła w wydawnictwie: «A ponieważ oni są kupcami, może Pani zechce ich przekonać jakimś argumentem kupieckim, a mianowicie coś w tym rodzaju, że w swojej książce Pani wspomni, czy też zacytuje „Połoninę”, zapowiadając jej ukazanie się po angielsku, nakładem wydawnictwa „Rój”. I w ten sposób utoruje drogę ich wydawnictwu. Nie wiem czy oni się na to zgodzą, zwłaszcza, że ciągle zapewniają, że „już, już” wydadzą, ale któż jak nie Pani ma zdolność uwodnego przekonywania?» [2]. Polecał również monografię Szuchewicza «Huculczyzna», a także «bardzo czarująca książka p.t. „A girl in the Karpathians” – by Menie Muriel Dowie, z roku 1891. Jest na Pokuciu przysłowie żydowskie; „Myt ejces zanen wir ferzorgt”. Równa się: „W rady jesteśmy zaopatrzeni”. Jak widzi Pani i ja w tej chwili nic więcej nie daję prócz rady» [2].

Barczową żywo obchodzili Huculi nie tylko jako dziedzice wielowiekowej kultury, lecz od stro-

ny życiowej, zwyczajnie ludzkiej. Pytała Vincenza o wiadomości z Pokucia. «Czy Rosjanie, jak słuchy chodzą, rzeczywiście wywieźli Huculów z pasa granicznego? Czy jakieś wiadomości stamtąd dochodzą? Czy Huculi zostali naprawdę ze szczętem wyniszczeni? Bardzo bym była wdzięczna za jakiegokolwiek informację» [1].

Na Gwiazdkę 1954 r. otrzymała od pisarza «Listy z nieba» i «zaraz wszystko od deski do deski przeczytałam». Lektura dostarcza jej kodu czy klucza dla pojmowania świata. «Dziś jak na dłoni dziedzić by zrozumiał, co pan Jakobenc tak klarował długo w tę burzliwą noc. Bo wszystko się sprawdziło i całe nasze prawdziwe życie żyje już tylko w naszej pamięci i w naszym smutku» [1]. Donosi z żalem, że «z książki mojej o Huculach zostało napisanych tylko 130 stron, bo wydawca orzekł, że nie ma tu rynku na historie o jakichś ukraińskich chłopach z jakichś zapadłych gór. Dlatego książki tej nie skończyłam i nie skończę pewnie nigdy» [1]. Tworzenie czy odtwarzanie utraconego świata było dla niej i zabawne i zbawienne, «bo wszystkie historie, które pisałam były prawdziwe, zdarzyły się naprawdę, i przypominały mi się dawne czasy. Cóż kiedy nikt czytać nie chce?» [1].

Mimo że Barczowa była wówczas zajęta czwartą powieścią angielską «Natalie» (1957), nie rozstaje się z huculskością. Żywił ten jest zawsze przy niej, siedzi w niej, służy jako środek do opisanego czy określenia wydarzeń na arenie międzynarodowej, w tym przypadku rewolucji na Węgrzech w 1956 r. Tam bowiem pozostała rodzina męża, od której nie było żadnych wiadomości. «Ach, drogi Panie Profesorze, okropne czasy na nas idą, nim tamte okropne się skończyły. I tak nawet wytchnienia nie ma; a adres Rachmanów zgubiony na amen, i już nawet nie ma gdzie wędrować» [1]. Na Gwiazdkę Vincenz jej posłał wstęp do Rachmanów, podał też adres kontaktowy w Budapeszcie. W tej tragicznej sytuacji Barczowa obiecuje sobie powrót do ukochanej tematyki, pisze wówczas do Wittlinów, że «na wiosnę po wielu modlitwach i pokłonach do ukraińskiego Boga, zacznę pisać moją huculską książkę „Olena of Trihory”. I wy za mnie powiedzcie choć raz: Hospody pomiłuj» [1].

Rzecz w tym, że wydawca «Natalie» wyraził zainteresowanie książką o Huculach. Barczowa miała napisać następne 150-200 stron podczas najbliższych letnich wakacji. Precyzuje ujęcie i wątki: «„Olena of Trihory” stanowi rodzaj Heleny Trojańskiej, tyle, że Parysem jest bandyta Kotek, którego nasza policja złapała, zdaje się, w 38 r. i którego powieszono w Stanisławowie, jak wieść głosi. Znałam jednego z jego bandy; za Jabłonicą mieszkał, ale przeważnie „siedział” po mamrach; z żoną jego, nieszczęsną,

byłam w przyjaźni» [1]. Gdzie indziej określa swój status literacki: nie uważa się za pisarkę, pisze tylko dla pieniędzy: «Nie jest to żadna saga starowieku, ale po prostu okropne plotki huculskie, kto z kim i gdzie „sedyt”, czyje które dziecko, a kto z kim kiedy miał zatargi i o co. Jedna rzecz, że nic nie zmyślam, a wszystkie te nieprawdopodobne historie słyszałam po karczmach na własne uszy, a także od doktorki tatarowskiej Klarbergowej» [1]. Bardzo jej zależało, «by Amerykanie tę właśnie książkę ode mnie kupili» [1]. Ale pracę jej znowu utrudnia brak odpowiednich źródeł, dlatego prosi o «każdy najmniejszy kawałek folkloru», gdyż «żadne materiały do Huculów tu nie istnieją poza kilkoma książkami w nowojorskiej bibliotece w języku ukraińskim przez które bym się już dziś nie przegryzła» [1]: «Czy mogę wobec tego coś nie coś ukraść z Wysokiej Połoniny, np. wspomnieć chociażby Rachmańską Wielkanoc. Jeżeli tak, to obiecuję zawsze o pozwolenie zapytać. (...) Czy ich Jordan, kiedy do rzeki skakali po krzyż w przeremblu to było którego lutego i jak się nazywało to święto? I jeszcze: o ile znali lubczyk, zioło na miłość, to jak to zioło po rusku się nazywało?» [1]. I błaga o każdą wiadomość o losach Huculów.

Na listy kwerendalne Vincenz odpisał pod koniec roku. Choć w tym miejscu odszyfrowanie jego pisma nastrecza mi poważne kłopoty, da się jednak wyłowić parę wątków: że zamierzał obszerniej opisać genealogię duchową młodego watacha, który nazywał się Kotek. Vincenz wiedział od Petra Szekieryk-Donykiva, że Kotek każe sobie czytać «Połoninę», bardzo się przejmuje lekturą, i robi pisarzowi «największą propagandę». «Kotek zaś, jak mi mówiono, był słaby, delikatny, rzekomo neurastenik. (...) Mogę to sobie wyobrazić w książce Pani wraz z zagadnieniem odgrywania charakteru „wielikana” Dobosza przez słabeusza Kotka» [1].

W grudniu 1960 Barczowa wciąż pisała swą opowieść o Huculach. Załamana po śmierci męża w 1963 r. zaczęła jeździć do Europy na lato, marzyła też o «wpadnięciu» do Grenoble «by się nadyszeć Huculszczyzny». Będąc w Niemczech zdążyła pobyć u starego przyjaciela Rudolfa Richtera (ten miał tłumaczyć «Połoninę», lecz zajął się Gombrowiczem). Ale do spotkania dawnych znajomych budapesztańskich już nie doszło. Świat jej młodości wciąż się kurczył. W tychże latach zmarł Neto Bohosiewicz, kuzyn jej męża, «a razem z nim cała encyklopedia żywa polowań koło Żabiego na niedźwiedzie. Tak się wykrusza nasz śliczny i nieznanany nikomu huculski świat. Ściskam! Wasylkowe oczy Litka» [1].

Alicja de Barcza przeżyła męża o 10 lat. Nienawidząc Ameryki i zżerana tęsknotą, wróciła w 1973

r. do Polski, gdzie zmarła po pół roku. Na niewcielenie się jej powieści składa się wiele przyczyn: osobistych, zdrowotnych i marketingowo-wydawniczych. Ale nie to rozstrzygło ostatecznie o zaprzeczeniu jej sagi huculskiej. Na przedwiośniu 1973 r. woda jej zalała całą piwnicę w Oshkosh, Wisconsin. Straciła olbrzymią bibliotekę, rękopisy i rysunki, a także bogate archiwum z listami m. in. od Tuwima, Wierzyńskiego, Lechonia, Słonimskiego, Wittlina. Stojąc po kostkę w brudnej wodzie, uratowała co mogła, i przekazała Tymonowi Terleckiemu. Zaklinała go, żeby znalazł dla tej garstki listów miejsce w archiwum, dopisała: «Posyłam 2 listy Vincenza Stanisł[awa]. (Stale jeszcze koresponduję z jego synem Stasiem w St. Louis). Huculszczyzna jest w Polsce na czarnej liście, te listy nie są interesujące» [3]. Wskutek powodzi smakowite płatki huculskie zostały wyjadane przez rybiki i stonogi. O tym huculskim projekcie Barczowa «z lubością opowiadała, naszkicowała szereg rozdziałów, które miały wejść w skład większej całości» [3]. Jej saga nie miała być wielkim dziełem filozoficznym; ale na pewno przedstawiała barwny i zajmujący obraz życia na przedwojennej Huculszczyźnie.

O jakości czegoś nieznanego trudno wydać sąd nawet w trybie spekulacyjnym. Ograniczyć

się musimy do wypowiedzi jej współczesnych. Lechoń uważał Barczową przed wszystkim za osobowość, najwyżej za talent. Gombrowicz chwalił jej pisanie i polecał ją Giedroycowi, choć na tyle ją czytał, co z przekartkowania książki angielskojęzycznej. Za to subtelny Wittlin był szczególnie uwrażliwiony na jej styl. Podsumowuje Roman Jasiński: «Była to właściwie natura bardzo artystyczna, z wyraźnymi uzdolnieniami literackimi. Listy pisywała świetne, rojące się do metafor i asocjacji, a jej bajki świadczyły o nieprzeciętnej wyobraźni» [4].

Alicja de Barcza chciała popularyzować kulturę huculską na terenie Ameryki. Choć jej starania spełzły na niczym, o jej stosunku do nie-polskiego świata niech świadczy parę zdań z listu: «Uważam też, że powinniśmy naszą przyszłość budować nie na Nissach i Dnieprach, ale na rozwinięciu naszej atrakcyjności dla naszych pomniejszych sąsiadów, którąś my przez krótki czas niepodległości z kretesem zaprzepaścili, o ile w ogóle takowa istniała. To, że nas nikt, ale to nikt nie lubi, musi mieć przyczyny w nas samych. Marzę o tym, by Czech, Ukraińiec, Litwin, czy Białorusin serdecznie i szczerze mnie, jako Polkę pocałował. Na razie czynię to z P. Profesorem» [1].

LITERATURA

1. Archiwum Stanisława Vincenza. Zakład Narodowy imienia Ossolińskiej we Wrocławiu. – sygnatura 17 611/II (Listy Alicji de Barcza do Stanisława Vincenza) – 442 s.

2. Archiwum Stanisława Vincenza. Zakład Narodowy imienia Ossolińskiej we Wrocławiu. – sygnatura 17 611/II (Listy Stanisława Vincenza do Alicji de Barcza) – 542 s.

3. Prywatne Archiwum Tymona Terleckiego w Oxfordzie.

4. Jasiński R. Zmierzch starego świata. Wspomnienia 1900–1945 / Roman Jasiński. – Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2007. – 840 s.

5. Lilpop-Krance F. Powroty / Felicja Lilpop-Krance. – Białystok: Versus, 1991. – 311 s.

6. Vincenz St. On the High Uplands. Sagas, songs, tales and legends of the Carpathians. Tłum. Henry Charles Stevens, Hutchinson/Stanislav Vincenz. – London & New York 1955. – 344 p.